

Bez tytułu

Z Krystyną Miłobędką o jej wierszu rozmawiała Magda Rybak

Jestem. Współżywa, współczynna, współwinna. Współzielona, współdrzewna. Współistnieję. Ty jeszcze nie wiesz co to znaczy. Obdarowana przenikaniem. Znikam jestem. Współtrwam (z Tobą) w tym szklistym dniu (z tym szklistym dniem w którym znikam) który znika ze mną tak lekko. Nie wiem co to znaczy. Współotwarta z oknem, współpłynna z rzeką. Jestem żeby wiedzieć znikam? Znikam żeby wiedzieć jestem? Cała ale całej nigdzie nie ma. Współprzelatująca, współniebna. Pół wieku żyłam po to!

A tytuł? Gdzie jest tytuł?

Nie ma.

Dlaczego?

Mam sporo zapisków, które nie mają tytułu.

Ale dlaczego? Uważa Pani, że do Pani nie należą?

Nie. Po prostu nie uważam, że coś, co nazywa się wierszem musi mieć tytuł. To coś, co miało być powiedziane, zostało zapisane i nie musi się nazywać. Napisałam teksty, w których tytuł jest w nich zawarty, jest ich częścią. Napisałam też takie, w których tytuł jest na końcu. Tu również można by wybrać pierwsze słowo "jestem", uwypuklić i powtórzyć. Ale właściwie po co? Lepiej nie zaczynamy rozmawiać o wierszach... bo właściwie co to jest wiersz?

Co to jest wiersz?

To jest studnia. To jest wszystko. Wszystkowiersze - wydałam taki zbiór. Tam też były tytuły lub ich nie było. Jak Bóg da.

Jak Bóg da, powstają wiersze? Jak ten powstał?

Właściwie w jednej chwili. To są takie momenty, wspaniałe zdarzenia, bardzo rzadkie. Dlatego to jest szczęśliwy wiersz. Zapisany bez jakiegokolwiek zamiaru pisania. Czasem człowiek zabiera się długo do pisania, a tu była chwila, w której znalazłam świstek papieru i zapisałam właśnie to. Nie było potem żadnego skreślenia ani dodania. Takich tekstów miałam w życiu trzy albo cztery. Dla piszącego one są najcenniejsze. Nie wiadomo skąd się biorą całe. Jeżeli poeta próbuje powiedzieć to, czego się nie da powiedzieć, to ten właśnie zapis spróbował być tym zapisem spełnionym. Stał się tą sekundą tego, co ja uważam za poezję. Udało się. Jakoś się udało.

W jakich okolicznościach powstał?

Przyjechałam z Wrocławia do matki do Puszczykowa. To był dom mojej matki, ale też dom, w którym przez całe lata mieszkałam. To było późne lato albo już jesień. Okna tego domu wychodziły na Wartę. Stałam w otwartym oknie i spoglądałam na rzekę. I powstał. Jest to jeden z najszybszych tekstów, jakie mi się udało napisać. Niezwykle rzadkie doznanie. Pół wieku żyłam,

żeby je przeczuć. To był rok 1985, dokładnie miałam 53 lata. Ile rzeczy się złożyło na te chwile, tego nie wiem.

To były jakieś wspomnienia? Obrazy?

Nie. To przyszło zupełnie nagle i bez związku. Nie miałam uczucia, że to ma z czymś konkretnym bezpośredni związek. Gdyby to rozważać tak rzeczowo, można by powiedzieć, że było tyle samo rzeczy zewnętrznych przeciw temu zapisowi, co za nim. Stałam w oknie i powiedziałam sobie: "Jestem, istnieję, współistnieję ze światem." To jest tylko ode mnie. Nic szczególnego z zewnątrz mnie nie otaczało, nic nie było w tym otwartym oknie, ani w tej płynącej rzece, którą widziałam co dzień, kiedy tam mieszkałam. Stałam w oknie, spjrzałam i to było właśnie to. Zapisałam to na jakimś świstku, nie wiem, jakim. Musiałam to robić bardzo szybko, bo to wszystko było jakby gotowe i tylko mi się zapisywało. Biegło szybko zdanie po zdaniu. To są takie chwile objawienia.

Moment natchnienia?

Brakuje na to słów. Pewnie bardzo wielu ludzi albo wszyscy mamy takie chwile, ale tylko ktoś, kto trochę w życiu zapisywał, wie, że to trzeba zapisać, że to jest bardzo ważne. Ktoś inny, będący biologiem, historykiem, czy rolnikiem, a nie człowiekiem piszącym, też by tę chwilę miał, tylko by jej nie zapisał. Nie jesteśmy tacy różni, tylko różnica pomiędzy piszącymi i nie-piszącymi polega na tym, że ci ostatni tego nie zapisują. Tylko jak o takich rzeczach rozmawiać? Jak kogoś spytać, czy mu się coś takiego zdarzyło? I kiedy? I dlaczego? To są najszcześniejsze doznania, nieprzekazywalne. Nie wiem, czy to był moment, czy zdarzenie. Nie wiem, czy to do mnie przyszło, czy to ja spowodowałam. Tego się nie da rozstrzygnąć. Przyjechałam wtedy do chorej matki i ostatnia rzecz, o jakiej wtedy myślałam to, że cokolwiek będę zapisywać. Czym innym byłam zajęta. To tak trochę, jakby to było takie zesłanie, objawienie, w które trudno wierzyć, trudno uwierzyć. Ale nie dałoby mi się usiąść i wymyśleć takiego tekstu. Tego jestem pewna. Czasem coś się zapisuje, coś się skleja, a tych szczęśliwych, szczęśliwie urodzonych naprawdę jest niewiele. Całe życie można próbować pisać i na taką chwilę nie trafić albo ją przegapić.

Szczęście współistnienia?

Tak. Współistnienia tak trudno doznać. Jesteśmy ciągle w czymś, wśród czegoś, ale jesteśmy oddzieleni. To oddzielenie jest właśnie winą człowieka. Takie uczucie, taki moment pozwala potem sobie i wszystko inaczej mieć. Bo to się tak zwyczajnie nie zmywa, nie wyciera. I nie jest trudno to mieć, tylko łatwo to stracić. Nie używamy przecież słowa „współistnieć” ze sobą, tylko „obcować”. Ja i ktoś obcy, drugi. A tego się szuka, współistnienia z drugim. I tu jest ten moment połączenia.

„Współżywa, współczyna, współwinna.”

Tak dokładnie pamiętam, wiem, że to miało też związek z czasem Solidarności. Trochę żeśmy w niej tkwili. To był rok 85 i to był bardzo zły rok. A jednocześnie był to wspaniały wspólny czas.

Współwinna czego?

Wszystkiego. Winnym jest się zawsze. Wobec najbliższych, dalszych i wobec tego, co się zdarzyło. Winy ma się wobec wszystkiego i wszystkich. Czy się zje kotleta na obiad, czy się komuś odburknie coś paskudnie.

„Obdarowana przenikaniem.”

Tak mi się wtedy napisało, tak mi się wtedy udało. Dało się przejść, przeniknąć i tę ramę okienną i liście. Nie szło o słowa, ale o jakieś fizyczne nieistnienie, które pozwala wejść w inne przedmioty, w inne istnienie.

„Współtrwam (z Tobą)...”

Tam jest „z Tobą” z dużej litery. Z Tobą, z Życiem. Tak wtedy myślałam.

„...w tym szklistym dniu (z tym szklistym dniem...)”

To była jesień. To była nawet nie przezroczystość. To są takie cuda, które się z powietrzem dzieją. Ten tekst się sam wyjaśnia tym, którym się coś podobnego zdarzyło. Może by coś ujęli albo dodali, ale moje musiało być tak zapisane. Ja w to wierzę, że tak wielu możliwości innego zapisania takich stanów nie ma. One się same tłumaczą. To nie jest zachwyty wspaniałością świata. To jest rozplątanie się we wszystkim. W tym, co żyje i tym, co umiera.

„Współotwarta z oknem, współpłynna z rzeką.”

Stałam w oknie i nie wiedziałam, gdzie się kończy rama, a gdzie się zaczynam ja. To niebycie i zarazem najszcześniejsze istnienie. Im bardziej się znika, tym bardziej się jest. To jest cała tajemnica szczęśliwego życia. Inaczej jest nazywane w różnych religiach. I Zen o tym mówi i Jan od Krzyża. To dawane jest nam wszystkim po to, żebyśmy wiedzieli, co tracimy. Bo traci się szybko. W jednym z tekstów napisałam „teraz wieczności”. To uczucie, że „teraz” jest moją wiecznością. Nagle uświadomienie sobie, że pisząc te dwa słowa zapisałam siebie.

„Współprzelatująca, współniebna.”

To są te chwileczki. Tam nie było ptaków. Było pusto. A może nie. Może ptak przeleciał.

„Cała ale całej nigdzie nie ma.”

Wiem, że jest się kompletnym. W takim momencie. To jest szczęście. Ale gdyby się chciało siebie szukać, to byłoby się nie tyle w różnych miejscach, co nie można by siebie znaleźć. Bo z tym ludzkim „ja” jest zawsze straszny kłopot. Dopiero, jak się siebie, czyli tego „grzechu ja”, się człowiek pozbędzie na chwilę, wtedy jest szczęśliwy. Nic nie musi. Wszystko samo się dzieje.

Czyli faktycznie „Jestem” mogłoby być tytułem.

Mogłoby. Ale to jest to szczęśliwe jestem. Jedyne jestem. Mówi się „przyszłam, jestem”, ale ile trzeba stracić, żeby być. Tylko taka jedna chwila uprzytamnia, uświadamia. Stracić siebie to zyskać siebie. Ale co to znaczy stracić, a co to znaczy zyskać? Dopóki się na to samemu nie trafi, to są słowa. Tego się słucha, to się czyta, ale to właśnie jest. Dziś już wiem, że jeszcze kilka razy mi się coś takiego uwidziało, coś takiego mi się przywidziało. Ale tego się nie zatrzymuje. To nie trwa. Niestety nie.

